

Londyński dżentelmen

Robił to, co uważał za słuszne, nie bacząc na konsekwencje.

DARIUSZ KOŻLENKO

Była jesień 2005 roku. Janusz Kochanowski prezesował założonej przez siebie fundacji Ius et Lex i był najpoważniejszym kandydatem na rzecznika praw obywatelskich. Ja pracowałem w zespole, który przygotowywał projekt ogólnopolskiego dziennika. Gazeta jeszcze nie ukazywała się na rynku, więc kiedy prosiłem Go o rozmowę, nie kryłem, że prócz kilku osób z naszego zespołu nikt nie przeczyta tego, co mi powie. Zdawałem sobie sprawę, że z punktu widzenia człowieka, który ubiega się o ważne, publiczne stanowisko, taka rozmowa to strata czasu. Miałem obawy, że odmówi. Ale nie odmówił. Przyjął mnie w swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie. Jak zawsze w garniturze, zaprowadził mnie do pokoju wypełnionego po sufit książkami, posadził w starym fotelu, podsunął jeszcze starszy, stylowy stolik. Zaproponował kawę, którą sam przyrządził, i podał w porcelanowych filiżankach. Podsunął srebrną cukiernicę z misterną, srebrną łyżeczką, nie zapomniał o ciasteczkach. Potem usiadł, założył nogę na nogę i zaczął wspominać stare czasy i starych znajomych - głównie członków brytyjskiej Izby Lordów. Pomyślałem, że ci, którzy doszukują się w Nim cech angielskiego lorda, mają trochę racji. Do idealnego obrazu sir Kochanowskiego brakowało tylko fajki i szklaneczki whisky w ręku. Ale i bez tego powiało Londynem. Londyn wiele dla Niego znaczył. Wspominał 1991 rok, kiedy wziął bezpłatny urlop na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie wykładał prawo, i został konsulem generalnym w Londynie. Pamiętam, jak tłumaczył, że dostał dwie propozycje: mógł zostać konsulem albo szefem Kancelarii Sejmu. Najpierw postanowił wybrać kancelarię, bo uznał, że dawała większe możliwości, potem popatrzył na żonę i dzieci, które za komuny nie miały szans na zagraniczny wyjazd, i zdecydował się na Londyn. Podczas rozmowy przyznał, że to był błąd, ale zaraz potem dodał z uśmiechem, iż bez Londynu nie byłoby Janusza Kochanowskiego. Jego znajomi twierdzili, że właśnie tam zaczął nosić garnitury i nabrał manier angielskiego dżentelmena. W roku 1995, po zwycięstwie Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich, zrezygnował ze stanowiska konsula. Między jednym a drugim łykiem kawy powiedział mi, że to był głupi gest i że z dnia na dzień znalazł się na bruku: bez pieniędzy, bez mieszkania, w obskurnym hotelu za pięć funtów. Z pomocą przyszli angielscy przyjaciele, dzięki którym przez następne półtora roku wykładał w college`u w Cambridge. Dziś, patrząc na Niego przez pryzmat ostatnich lat, myślę, że ta historia dobrze Go opisuje, że taki właśnie był: robił to, co uważał za słuszne, nie patrząc na konsekwencje. Gazeta, nad którą wtedy z kolegami pracowałem, nigdy nie ukazała się na rynku. Spisana przeze mnie rozmowa z Januszem Kochanowskim przepadła gdzieś w zakamarkach komputerów. Ale wciąż pamiętam, że gdy rozmawialiśmy o Jego szansach w wyborach na rzecznika praw obywatelskich, powiedział, iż nie bardzo wierzy w sukces, bo ma naturalną cechę wzbudzania niechęci do siebie. Pomyślałem wtedy, że niewielu ludzi byłoby stać na wygłoszenie takiej opinii o sobie. I że nawet jeśli to prawda, w moim przypadku Jego naturalna cecha nie zadziałała.

Dariusz Koźlenko jest dziennikarzem "Newsweeka Polska"

JANUSZ KOCHANOWSKI (1940-2010) od 2006 roku rzecznik praw obywatelskich, absolwent prawa na Uniwersytecie Warszawskim, doktor nauk prawa i wykładowca uniwersytecki, były konsul generalny RP w Wielkiej Brytanii